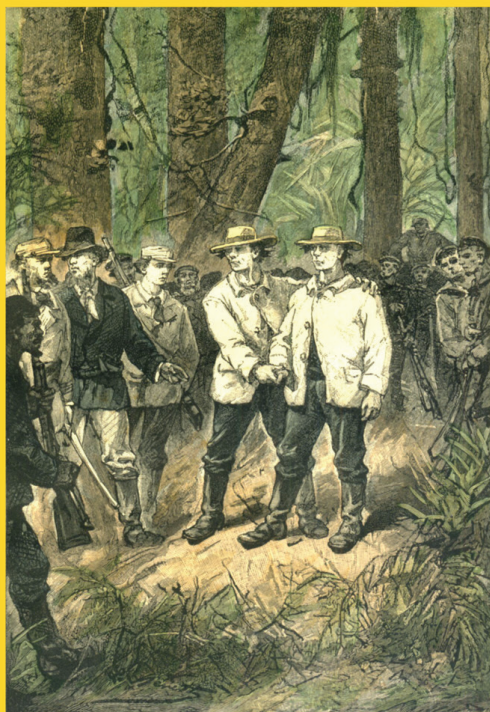




Juliusz Verne

Północ przeciw Południu (Część druga)

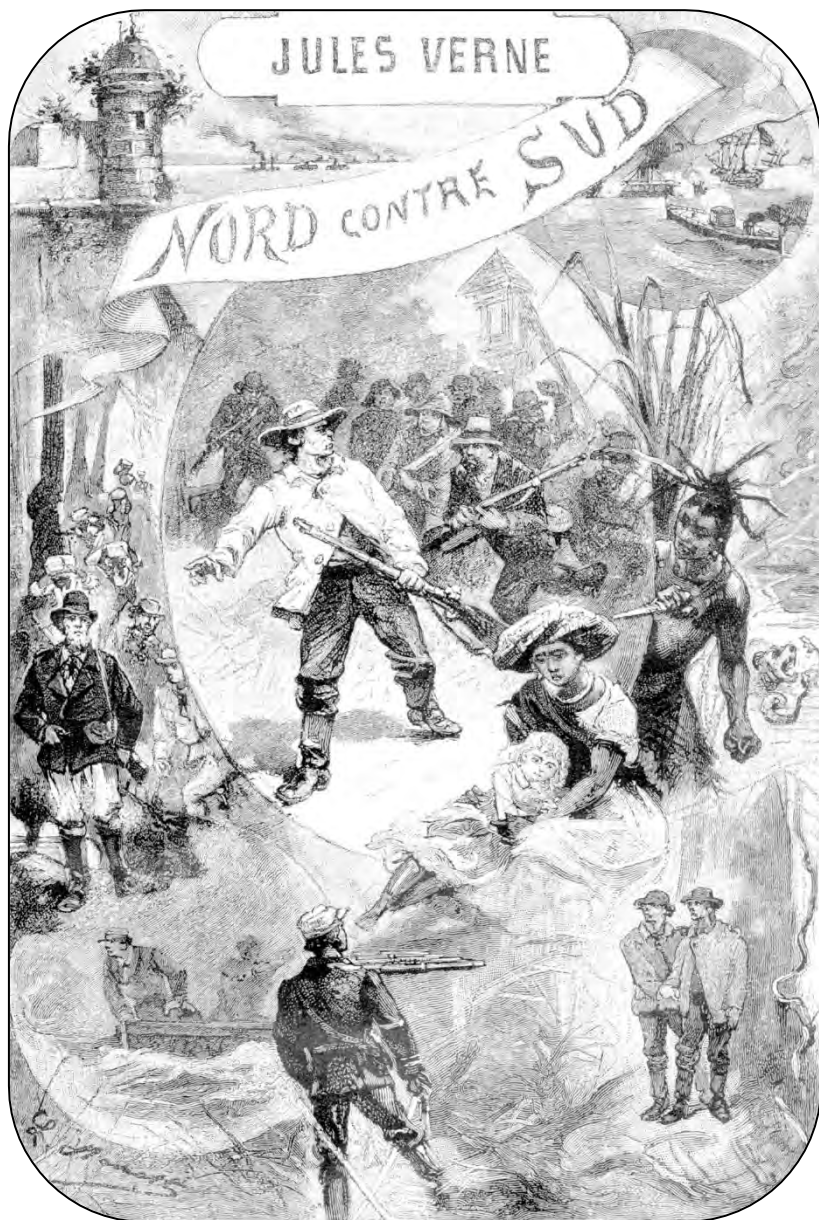


ISBN 978-83-66268-51-7 (całość)

ISBN 978-83-66268-53-1 (cz. 2)

JULES VERNE

NORD CONTRE SUD



Juliusz Verne

**PÓŁNOC PRZECIW
POŁUDNIU**

Juliusz Verne



PÓŁNOC PRZECIWIW POŁUDNIU

część druga

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Siedemdziesiąta ósma publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Nord contre Sud

© Copyright for the Polish translation
by Andrzej Zydorczak, 2020

85 ilustracji, w tym 9 kolorowych i mapka: Léon Benett
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© **Wydawca: JAMAKASZ**

Ruda Śląska 2020

ISBN 978-83-66268-51-7 (całość)
ISBN 978-83-66268-53-1 (część druga)

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział I

Po porwaniu

Texar!”. Takie nienawistne nazwisko rzuciła Zermah w ciemności w chwili, gdy pani Burbank i miss Alice dotarły nad brzeg zatoczki Marino. Dziewczyna rozpoznała nikczemnego Hiszpana. Nie można więc było podawać w wątpliwość, że to on był sprawcą porwania, któremu także osobiście przewodził.

Faktycznie, to był Texar, któremu towarzyszyło z pół tuzina ludzi, jego kompanów.

Hiszpan już od dawna przygotowywał tę wyprawę, w wyniku której miało dojść do dewastacji Camdless Bay, splądrowania Castle House, zrujnowania Burbanków oraz porwania lub śmierci głowy rodziny. Właśnie w tym celu rzucił swoje hordy rabusiów na plantację, jednak nie stanął na ich czele, pozostawiając kierowanie nimi swoim najgwałtowniejszym zwolennikom. To tłumaczy, dlaczego John Bruce, który wmieszał się w bandę napastników, mógł zapewnić Jamesa Burbanka, że między nimi nie ma Texara.

Aby go spotkać, trzeba było udać się do zatoczki Marino podziemnym tunelem połączonym z Castle House. W przypadku gdyby dom został zdobyty, to właśnie tą drogą ostatni obrońcy próbowaliby się wycofać. Texar wiedział o istnieniu tunelu, dlatego też wsiadłszy w Jacksonville do łodzi, której towarzyszyła druga ze Squambo i dwoma niewolnikami, dotarł do zatoczki, by pilnować tego miejsca, z którego najpewniej James Burbank będzie próbował ucieczki. Nie pomylił się, a zrozumiał to, gdy zobaczył jedną z łodzi z Camdless Bay ukrytą w trzcinach zatoczki. Murzyni, którzy jej pilnowali, zostali zaskoczeni, zaatakowani i zarżnięci. Teraz nie pozostawało nic innego jak tylko czekać. Wkrótce pojawiła się Zermah, a wraz z nią dziewczynka. Gdy Mulatka zaczęła krzyczeć, Hiszpan, obawiając się, by ktoś

nie przybył na ratunek, natychmiast pchnął ją w ramiona Squambo. Kiedy pani Burbank i miss Alice pojawiły się na brzegu, Mulatka właśnie w tej chwili była uwożona rzeką w łodzi Indianina.

Co się działo dalej, wszyscy wiemy.

Jednakże po dokonanym porwaniu Texar nie uznał za stosowne dołączyć do Squambo.

Ten człowiek, który był mu całkowicie oddany, wiedział, do jakiej nieprzeniknionej kryjówki mają być odprowadzone Zermah i mała Dy. Dlatego też w chwili, gdy padły trzy wystrzały z działa odwołujące napastników bliskich zdobycia Castle House, Hiszpan zniknął, przecinając na ukos St. Johns.

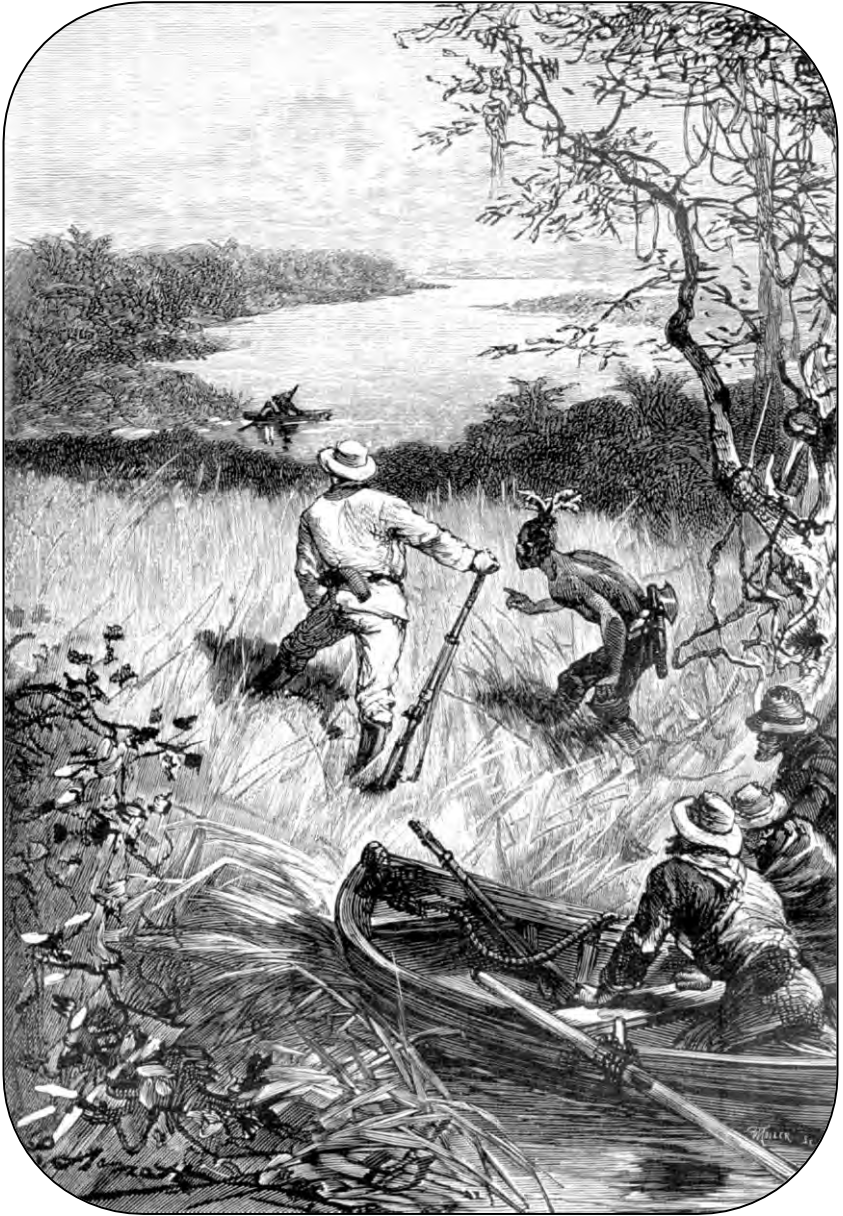
Dokąd się udał? Tego nie wiadomo. W każdym razie nie wrócił do Jacksonville w nocy z trzeciego na czwarte go marca. Pojawił się dopiero dobę później. Co się z nim działo podczas tej niewytłumaczalnej nieobecności, której nawet nie starał się wyjaśniać? Nikt tego nie wiedział. Tymczasem było całkiem naturalne, że może zostać skompromitowany, gdyby został oskarżony o udział w porwaniu Dy i Zermah. Zbieżność między porwaniem a jego zniknięciem mogła tylko obrócić się przeciw niemu. Jakkolwiek było, wrócił do Jacksonville rankiem piątego marca, by podjąć przedsięwzięcia niezbędne dla obrony południowców – by zdążyć, jak było widać, zastawić pułapkę na Gilberta Burbanka i przewodniczyć komitetowi, który skazał młodego oficera na śmierć.

Jedno było pewne: Texara nie było w łódce prowadzonej przez Squambo, unoszonej w ciemnościach przypływem w górę rzeki, powyżej Camdless Bay.

Zermah, zrozumiałwszy, że jej okrzyki nie zostaną już usłyszane na pustych brzegach St. Johns, zamilkła. Usiadła w tyle łodzi i ścisnęła w ramionach małą Dy.

Przerażona dziewczynka nie wypowiedziała ani jednej skargi. Przytuliła się do piersi Mulatki, schowała się w fałdach jej mantylki. Jedyne raz czy dwa z jej ust wydostało się kilka słów:

– Mammo...! mammo! Dobra Zermah, boję się...! boję się! Chcę zobaczyć mamę...!



Texar dotarł do zatoczki, by pilnować tego miejsca, z którego najpewniej James Burbank będzie próbował ucieczki.

– Tak... moja umiłowana...! – odpowiedziała Zermah. – Znowu ją zobaczymy...! Nic się nie bój...! Jestem przy tobie!

Dokładnie w tej chwili przerażona pani Burbank biegła prawym brzegiem rzeki, na próżno szukając łodzi, która zabrała jej córkę na drugi brzeg.

Panowały głębokie ciemności. Pożary wzniecone na terenie posiadłości zaczynały przygasać z hukiem podobnym do eksplozji. Z zebranych na północy dymów wyłaniały się rzadkie wybuchy płomieni, które odbijały się na powierzchni rzeki jak szybkie błyskawice. Później wszystko stało się milczące i ciemne. Łódź płynęła korytem rzeki, której brzegów nie można było dostrzec. Nie byłaby bardziej odosobniona, gdyby znalazła się sama na pełnym morzu.

Ku jakiej małej zatoczce kierowała się łódka, którą kierował Squambo, trzymając ster w ręce? Tego przede wszystkim należało się dowiedzieć. Nic by nie dało wypytywanie o to Indianina, dlatego Zermah próbowała się zorientować – trudna rzecz w takich ciemnościach, dopóki Squambo nie porzuci środka rzeki.

Fala przyprływu ciągle rosła i przy użyciu pagajów dwóch Murzynów szybko podążało na południe.

Jakże jednak byłoby potrzebne, żeby Zermah zostawiała ślad swego przejścia, by ułatwić swemu panu poszukiwania! Otóż na samej rzece było to niemożliwe, ale na łądzie jakiś skrawek jej mantylki upuszczony przy krzaczku mógłby stać się pierwszą wskazówką na tropie, który raz odkryty, doprowadziłby poszukiwaczy aż do celu. Tymczasem na co by się zdało powierzenie prądowi jakiegoś przedmiotu należącego do dziewczynki albo do niej? Czy można było mieć nadzieję, że przypadek sprawi, iż wpadnie on w ręce Jamesa Burbanka? Trzeba było porzucić ten plan i ograniczyć się jedynie do rozpoznania, w jakim punkcie St. Johns łódź przybije do brzegu.

Godzina minęła w tych okolicznościach. Squambo nie wypowiedział jednego słowa. Dwaj Murzyni w milczeniu pracowali pagajami. Żadne światło nie pojawiło się na brzegach, ani w domach, ani w lesie, którego masa niewyraźnie rysowała się w mroku.

Zermah, rozglądając się na prawo i na lewo, gotowa w każdej chwili zapamiętać jakąś wskazówkę, jednocześnie rozmyślała o nie-

bezpieczeństwach, jakie zagrażały dziewczynce. Tymi, które jej samej mogły grozić, nawet się nie zajmowała. Wszelkie jej obawy koncentrowały się na dziecku. Tym, kto jej porwał, na pewno był Texar. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Rozpoznała Hiszpana, który zaczął w zatoczce Marino, czy to zamierzając dostać się przez tunel do Castle House, czy też oczekując na jego obrońców w chwili, gdy będą próbowali uciec tym wyjściem. Gdyby Texar tak bardzo się nie spieszył, teraz w jego rękach znajdowałaby się także pani Burbank i Alice Stannard. Jeśli osobiście nie kierował milicją i łupieżcami, to dlatego, iż uważał, że łatwiej będzie dorwać rodzinę Burbanków przy zatoczce Marino.

W każdym razie Texar nie mógłby zaprzeczyć, że brał bezpośredni udział w porwaniu. Zermah wykrzyczała jego nazwisko, a pani Burbank i miss Alice z pewnością je usłyszały. Później, kiedy nadejdzie godzina sprawiedliwości, kiedy Hiszpan będzie odpowiadał za swoje zbrodnie, to tym razem nie będzie mógł się uciec do jednego z tych niewytłumaczalnych alibi, które tak bardzo mu do tej pory pomagały.

Jaki los gotował on teraz swoim dwom ofiarom? Czy wysłe je na bagniste tereny Everglades, leżące poza źródłami St. Johns? Pozbędzie się Zermah jako niebezpiecznego świadka, którego zeznania pewnego dnia mogłyby obarczyć go winą? Takie pytania zadawała sobie Mulatka. Chętnie złożyłaby ofiarę ze swego życia, byleby tylko uratować zabrane razem z nią dziecko. Lecz kiedy nie będzie żyła, co się stanie z Dy w rękach Texara i jego towarzyszy? Ta myśl sprawiała jej tortury i powodowała, że jeszcze silniej przyciskała dziewczynkę do piersi, jakby Squambo miał zamiar wyrwać małą z jej ramion.

W tym momencie Zermah zdołała stwierdzić, że łódka zbliżała się do lewego brzegu rzeki. Czy była to jakaś wskazówka? Nie, ponieważ nie wiedziała, że Hiszpan mieszka w głębi Czarnej Zatoki, na jednej z wysepek tej laguny, czego nie wiedzieli nawet stronnicy Texara, skoro nikt do tej pory nie był dopuszczany do blokhauzu, który zajmował ze Squambo i Murzynami.

Istotnie, to właśnie tam Indianin miał dostarczyć Dy i Zermah. W głębinach tej tajemniczzej okolicy będą dobrze ukryte przed wszelkimi poszukiwaniami.

Mała zatoka była nieprzenikliwa, że tak powiem, dla nikogo, kto nie znał położenia jej przesmyków i rozmieszczenia wysepek. Oferowała tysiące kryjówek, w których więźniowie mogli być tak dobrze ukryci, że nie było możliwości natrafienia na ich ślady. Gdyby James Burbank próbował przeszukać ten niedająca się rozwikłać sieć przesmyków i wysepek, byłoby dość czasu, by przewieźć Mulatkę i dziecko aż na południowy kraniec półwyspu. Wtedy jednak znikną wszelkie szanse odnalezienia ich pośród rozległych przestrzeni, gdzie rzadko docierają florydscy pionierzy i tylko nieliczne grupy Indian przemierzają ich niezdrowe równiny.

Szybko pokonano czterdzieści pięć mil, jakie dzielą Camdless Bay od Czarnej Zatoki. Około jedenastej łódź znajdowała się na zakręcie rzeki St. Johns, położonym jakieś dwieście jardów poniżej zatoki. Teraz należało rozpoznać wejście do laguny. Manewr ten utrudniały głębokie ciemności panujące na lewym brzegu rzeki. Tak więc Squambo, chociaż bardzo dobrze znał tę okolicę, wahał się przez chwilę, gdy trzeba było skrócić sterem w ten sposób, by przeciąć na ukos prąd rzeki.

Niewątpliwie manewr byłby łatwiejszy, gdyby łódź mogła płynąć wzdłuż tego brzegu, który jest wydrążony przez nieskończoną ilość małych zatoczek, najeżonych trzcinami lub trawami wodnymi. Tymczasem Indianin obawiał się osiąść na mieliznie. Ponieważ zaś odpływ miał niedługo ściągać wody St. Johns w kierunku ujścia, miałyby bardzo duży kłopot, gdyby tak się stało. Musiałby czekać na kolejny przyptyw, to znaczy blisko jedenaście godzin, więc jakże zdołałby uniknąć dostrzeżenia go za dnia? Rzekę zwykle przemierzało wiele łodzi. Obecne wydarzenia zachęcały nawet do nieustannej wymiany korespondencji między Jacksonville i St. Augustine. Jeśli członkowie rodziny Burbanków nie zginęli w ataku na Castle House, niewątpliwie przedsięwzięliby następnego dnia najaktywniejsze poszukiwania. Squambo, zapędzony na mieliznę przy jednym z brzegów, nie mógłby uciec przed pościgiem, którego byłby przedmiotem. Sytuacja stałaby się bardzo niebezpieczna. Z tych wszystkich powodów chciał pozostać w głównym nurcie St. Johns, a nawet, gdy-

by było to konieczne, zakotwiczyć w środku prądu. Potem, o świcie, pospieszyliby się z rozpoznaniem przesmyków Czarnej Zatoki, gdzie nikt inny nie był w stanie do ścigać.

Tymczasem łódź nadal posuwała się wraz z przypływem. Przez ten czas Squambo ciągle oceniał, że jeszcze nie znalazł się na wysokości laguny.

Nadal więc starał się płynąć w górę rzeki, kiedy w pobliżu rozległ się jakiś dźwięk. Były to głuche uderzenia kół rozchodzące się po powierzchni wody. Prawie natychmiast na zakręcie przy lewym brzegu pojawiła się ruchoma bryła.

Był to *steam-boat*, który płynął pod małą parą, rzucając w mrok białe światło latarni okrętowej. Po niespełna minucie powinien się znaleźć koło łodzi.

Jednym gestem Squambo wstrzymał pagaje dwóch Murzynów i ruchem steru skierował się ku prawemu brzegowi, by nie tylko nie znaleźć się na drodze *steam-boatu*, ale także nie zostać spostrzeżonym.

Jednak wachtowi burtowi już zasygnalizowali łódź. Przez tubę rozkazano jej przybić do statku.

Squambo zaklął straszliwie, ale nie mogąc nie posłuchać tego formalnego rozkazu i uciec, musiał mu się podporządkować. Chwilę później ustanowił łódź wzdłuż prawej burty *steam-boatu*, który oczekując na nią, zastopował maszyny.

Zermah natychmiast się poderwała.

W zaistniałej sytuacji dostrzegła niejaką szansę ocalenia. Czy nie mogła krzyknąć, dać znać, zażądać pomocy i w ten sposób umknąć Squambo?

Indianin stanął przy niej. W ręce trzymał duży *bowie knife*¹. Drugą ręką chwycił dziewczynkę, którą Zermah na próżno starała się mu wyrwać.

– Jeden okrzyk – syknął – a zabiję tę małą!

¹ *Bowie knife* (*nóż Bowiego*) – rodzaj amerykańskiego noża myśliwskiego, spopularyzowany w początkach XIX wieku przez słynnego pioniera, żołnierza i legendarnego bohatera rewolucji teksańskiej, zabitego w bitwie o Alamo Jamesa „Jima” Bowiego, (1796-1836); nazwę zaczęto z czasem stosować w odniesieniu do wszystkich dużych, ciężkich noży o szerokiej głowni.

Gdyby chodziło tylko o jej życie, Zermah by się nie zawahała. Ponieważ jednak nóż Indianina groził dziecku, zachowała milczenie. Z pokładu parowca nie było zresztą widać nic z tego, co się działo w łodzi.

Steam-boat przybywał z Picolaty, skąd zabrał oddział milicji zdążający do Jacksonville, by wzmocnić wojska południowców, które miały nie dopuścić do zajęcia rzeki.

Jeden z oficerów wychylił się z mostka kapitańskiego i zacząłypytywać Indianina. Oto słowa, jakie między nimi padły:

– Dokąd płyniesz?

– Do Picolaty.

Zermah zachowała w pamięci tę nazwę, jednocześnie myśląc sobie, że w interesie Squambo wcale nie leżało powiedzenie prawdy.

– Skąd płyniesz?

– Z Jacksonville.

– Słysząc coś nowego?

– Nie.

– Nic o flotylli Du Ponta?

– Bez zmian.

– Nie ma żadnych wieści o ataku na Fernandinę i Fort Clinch?

– Nie.

– Żadna z kanonierek nie przepłynęła przesmykami St. Johns?

– Ani jedna.

– Skąd się wzięły te błyski, które widzieliśmy, a także huk, który dochodził z północy, podczas gdy staliśmy na kotwicy, czekając na przypływ?

– Dzisiejszej nocy to był atak przypuszczony na Camdless Bay.

– Przez nordystów...?

– Nie...! Przez milicję z Jacksonville. Właściciel chciał się oprzeć rozkazom komitetu...

– Dobrze...! dobrze...! Chodzi o tego Jamesa Burbanka... zacieklego abolicjonistę...!

– Dokładnie tak.

– I co z tego wyniknęło?



Jeden z oficerów wychylił się z mostka kapitańskiego i zaczął wypytywać Indianina.

– Nie wiem... Tylko przepływałem w pobliżu... Wydawało mi się, że wszystko stało w płomieniach!

W tej chwili z ust dziecka wyrwał się cichy okrzyk... Zermah położyła dłoń na ustach dziewczynki w momencie, gdy palce Indianina zbliżyły się do jej szyi. Oficer stojący wysoko na pomoście kapitańskim *steam-boatu* nic nie usłyszał.

– Czy Camdless Bay ostrzeliwano z działa? – zapytał.

– Nie sądzę.

– Skąd zatem pochodziły te trzy detonacje, które usłyszeliśmy dolatujące od strony Jacksonville?

– Nie umiem na to odpowiedzieć.

– Zatem St. Johns jest jeszcze wolna od Picolaty po swe ujście?

– Całkowicie wolna, i możecie nią płynąć, nie obawiając się ataku kanonierek.

– Doskonale. W drogę!

Rozkaz został przekazany do maszynowni i *steam-boat* ruszył dalej.

– Czy mogę o coś spytać? – rzekł nagle Squambo do oficera.

– O co?

– Noc jest bardzo ciemna... Nie za bardzo umiem się rozeznąć... Może mi pan powiedzieć, gdzie jestem?

– Na wysokości Czarnej Zatoki.

– Dziękuję.

Kiedy łódka Indianina znalazła się kilkanaście sążni¹ od statku, jego koła łopatkowe zaczęły bić powierzchnię rzeki. *Steam-boat* pogrążał się powoli w mroku, zostawiając za sobą wodę wzburzoną uderzeniami potężnych kół.

Squambo, będąc teraz sam na rzece, usadowił się w tyle łódki i kazał Murzynom wiosłować. Znał swoją pozycję, więc skręciw-

¹ *Sążeń* – miara długości równa długości rozstawionych ramion, także miara używana przy pomiarach głębokości wód; we Francji rozróżniało się sążeń (*toise*) jako miarę długości, wynoszącą 1,95 m, oraz sążeń morski (*brasse*), równający się 1,63 m; sążeń angielski (*fathom*) wynosi 1,83 m; za pomocą tych dwóch miar określano głębokość wód; J. Verne użył w tym miejscu wyrazu *brasse*.

szy na prawą burtę, płynął w stronę wcięcia brzegu, w głębi którego otwierała się Czarna Zatoka.

Zermah nie miała żadnych wątpliwości, że Indianin chce się ukryć w tym trudno dostępnym miejscu, ale ta wiedza nic jej nie dawała. W jaki sposób mogła zawiadomić swego pana i jak dałoby się zorganizować poszukiwania pośród tego nieprzeniknionego labiryntu kanałów? Czy poza tą zatoką, w przypadku gdyby Jamesowi Burbankowi i jego bliskim udało się wedrzeć do laguny, lasy hrabstwa Duval nie oferowały łatwej możliwości udaremnienia pościgu? Ta część zachodniej Florydy nadal pozostawała dzikim krajem, w którym prawie niemożliwe było odszukać jakikolwiek trop. Ponadto zapuszczanie się tam byłoby bardzo nierozważnym posunięciem.

Te zalesione i bagniste tereny nadal przemierzali straszliwi Seminolowie, ciągle wzbudzający strach. Byli skorzy do rabowania podróżnych, którzy wpadli im w ręce, a nawet ich mordowali, gdy ci próbowali się bronić.

Nie tak dawno w górnej części hrabstwa, na północny zachód od Jacksonville, doszło do dziwnego wydarzenia, o którym dużo mówiono.

Otóż dwunastu Florydczyków udających się na wybrzeże Zatoki Meksykańskiej zostało pochwyconych przez plemię Seminolów. Jeżeli nie wyróżnięto ich aż do ostatniego, to jedynie dlatego, że nie stawiali żadnego oporu, co zresztą nie miałoby żadnego sensu, gdyż na każdego z nich przypadało dziesięciu wrogów.

Ci poczciwi ludzie zostali zatem sumiennie przeszukani i obrabowani ze wszystkiego, co posiadali, nawet z ubrań. Ponadto powiedziano im, aby pod groźbą śmierci nigdy nie pojawiali się ponownie na tych terytoriach, do których Indianie nadal rościli sobie prawo pełnej własności. Aby ich rozpoznać, w przypadku gdyby naruszyli to polecenie, wódz tej bandy zastosował bardzo prosty sposób. Kazał wytatuować na ich ramionach wykonany sokiem rośliny barwierskiej za pomocą ostrza igły dziwny znak, którego nie dało się już usunąć. Następnie Florydczycy zostali zwolnieni, nie doznawszy już dalszych szykan, choć wrócili na plantacje na północy w dość kiepskim stanie – ostemplowani, że tak powiem, herbem indiańskiego plemienia, a po-

nadto nie chcąc, co rozumiało, ponownie wpaść w ręce Seminolów, którzy tym razem bezlitośnie by ich wymordowali, aby uszanować swój szczególny podpis.

W innym czasie milicja hrabstwa Duval nie pozostawiłaby bezkarne takiego zamachu. Rzuciłaby się w pościg za Indianami. W obecnej chwili miała jednak zupełnie co innego do roboty niż organizować nową wyprawę przeciwko koczownikom. Wszystko zdominowała obawa przed opanowaniem terenów przez oddziały federalistów. Przede wszystkim chodziło o to, by przeszkodzić im w opanowaniu St. Johns, a wraz z tą rzeką obszarów, które ona nawadnia.

Tak więc nie można było osłabiać sił południowców rozmieszczonych od Jacksonville aż po granicę z Georgią. Później będzie czas, by przedsięwziąć kampanię przeciwko Seminolom, rozzuchwalonym przez wojnę domową do tego stopnia, że ośmielali się pojawiać na terenach położonych na północy, o których mniemano, że na zawsze zostali z nich usunięci. Wtedy nie zadowolono by się zepchnięciem ich na bagna Everglades, ale spróbowano by wyniszczyć plemię do ostatniego człowieka.

Tymczasem niebezpiecznie było zapuszczać się na terytoria położone na zachodzie Florydy i gdyby James Burbank kiedykolwiek miał prowadzić tam swoje poszukiwania, byłoby to nowe zagrożenie dodane do wszystkich tych, jakie niosła za sobą tego rodzaju ekspedycja.

Tymczasem łódka dobiła do lewego brzegu rzeki. Squambo, wiedząc, że znajduje się na wysokości Czarnej Zatoki, którą tworzą wody St. Johns, już się nie obawiał, że ugrzęźnie na jakiejś mieliźnie.

Dlatego też pięć minut później łódź wplotła się pod ciemne sklepienie drzew, w jeszcze większych ciemnościach niż te panujące na powierzchni rzeki. Jakkolwiek Squambo był przyzwyczajony pływać po pętłach i przesmykach laguny, w takich warunkach nie potrafiłby temu podołać. Dlaczego jednak, nie będąc już widziany przez obcych, nie miałby oświetlać sobie drogi? Z drzewa rosnącego nad brzegiem ucięto więc żywiczną gałąź, którą podpalono i umieszczono na dziobie łódki. Jej przytłumione światło musiało wystarczyć wywi-



Z drzewa rosnącego nad brzegiem ucięto więc żywiczną gałąź,
którą podpalono i umieszczono na dziobie łódki.

czonemu wzrokowi Indianina, by się rozeznąć w labiryncie przesmyków. Przez około pół godziny podążał krętymi torami wodnymi i wreszcie dobił do wysepki, na której stał blokhauz.

Wtedy Zermah musiała wysiąść na ląd. W jej ramionach spała dziewczynka, pokonana przez zmęczenie. Nie obudziła się nawet wówczas, kiedy Mulatka przeszła przez bramę małego fortu i została zamknięta w jednym z pomieszczeń przylegających do centralnej reduty.

Dy, owinięta w derkę, która poniewierała się w kącie, została ułożona na czymś w rodzaju nędznego posłania. Zermah czuwała, siedząc tuż przy niej.



Rozdział II

Osobliwa operacja

Nazajutrz, trzeciego marca o ósmej rano, do pomieszczenia, w którym nocowała Zermah, wszedł Squambo. Przyniósł trochę jedzenia: chleb, kawałek zimnej dziczyzny, owoce, dzbanek mocnego piwa, dzban wody oraz różne naczynia stołowe. W tym samym czasie jeden z Murzynów ustawiał w kącie stary mebel mający służyć za komodę i toaletę, a w nim trochę bielizny, pościel, prześcieradła i inne drobne przedmioty, z których Mulatka mogła zrobić użytek dla siebie i dziewczynki.

Dy jeszcze spała. Zermah gestem błagała Squambo, by jej nie budził.

Kiedy Murzyn wyszedł, Zermah powiedziała cichym głosem do Indianina:

- Co chcesz z nami zrobić?
- Nie wiem – odpowiedział Squambo.
- Jakie rozkazy otrzymałeś od Texara?
- Czy one pochodzą od Texara, czy od kogoś innego – odparł Indianin – lepiej zrobisz, gdy się do nich zastosujesz. Jak długo będziesz tu przebywać, ten pokój będzie należał do ciebie, natomiast na noc będziecie zamykane w reducie forteczki.
- A w dzień...?
- Będziecie mogły chodzić wewnątrz ogrodu.
- Jak długo tu będziemy...? – zapytała Zermah. – Mogę wiedzieć, gdzie jesteśmy?
- Tam, gdzie miałem rozkaz was zaprowadzić.
- I pozostaniemy tu...?
- Powiedziałem to, co miałem powiedzieć – odrzekł Indianin. – Nie ma sensu mnie wypytywać, gdyż nic więcej nie powiem.

To powiedziawszy, Squambo, który rzeczywiście musiał się ograniczyć do tej krótkiej wymiany zdań, opuścił izbę, zostawiając Mulatkę samą z dzieckiem.

Zermah popatrzyła na dziewczynkę. W jej oczach pojawiły się łzy, które jednak natychmiast obtarła. Po przebudzeniu Dy nie powinna zobaczyć, że płakała. Chodziło o to, żeby dziecko powoli przyzwyczajało się do nowej sytuacji – być może bardzo groźnej, gdyż ze strony Hiszpana wszystkiego można było się spodziewać.

Zermah rozmyślała o tym, co wydarzyło się od poprzedniego dnia. Widziała dobrze, że pani Burbank i miss Alice szły w górę rzeki wzdłuż brzegu, podczas gdy łódka oddalała się od niego. Do jej uszu doleciały ich rozpaczliwe wołania i rozdzierające krzyki. Ale czy udało im się dotrzeć z powrotem do Castle House, dostać się do tunelu, wejść do obleżonego domu, powiadomić Jamesa Burbanka i jego towarzyszy o nowym nieszczęściu, które na nich spadło? Czyż ludzie Hiszpana nie mogli ich porwać, uprowadzić daleko od Camdless Bay, a może nawet zabić? Gdyby tak się stało, James Burbank nie wiedziałby o porwaniu córeczki i Zermah. Mógłby myśleć, że jego żona, miss Alice, dziecko i Mulatka wsiadły do łodzi w zatoczce Marino i dotarły do kryjówki przy Cedrowej Skale, gdzie byłyby zupełnie bezpieczne. W takim razie nie zarządziłyby natychmiastowych poszukiwań w celu ich odnalezienia...!

Zakładając, że pani Burbank i miss Alice zdołały powrócić do Castle House, że James Burbank został o wszystkim powiadomiony, to czy nie należało się obawiać, że dom został opanowany przez napastników, splądrowany, podpalony i zniszczony? W takim przypadku co mogło się stać z jego obrońcami? Zostali więźniami albo zginęli w walce, a wtedy Zermah nie mogła oczekiwać żadnej pomocy z ich strony.

W tym stanie rzeczy, nawet gdyby nordyści opanowali rzekę St. Johns, ona i tak będzie zgubiona. Gilbert Burbank i Mars nigdy się nie dowiedzą, że siostra jednego z nich, a żona drugiego są więzione na wysepce w Czarnej Zatoce!



– Co chcesz z nami zrobić?

Gdyby więc tak było, Zermah nie mogła liczyć na nikogo jak tylko na siebie i na to, że nie opuści jej energia. Będzie się starała uratować to dziecko, które może w tej chwili tylko ją miało na świecie. Jej życie skoncentruje się tylko na jednej myśli: uciekać! Nie upłynie ani jedna godzina, w której nie będzie przygotowywała sposobów ucieczki.

Czy jednak było możliwe wydostać się z forteczki strzeżonej przez Squambo i jego towarzyszy, ująć dwom dzikim ogarom krążącym wokół ogrodzenia, uciec z tej wysepki zagubionej w niezliczonych meandrach laguny?

Tak, to było możliwe pod warunkiem, że uzyskałaby potajemne wsparcie jednego z niewolników Hiszpana, który znałby doskonale przesmyki w Czarnej Zatoce. Dlaczego przynęta w postaci dużej nagrody nie miałyby skłonić któregoś z tych ludzi do pomocy w ucieczce...? Właśnie w tym kierunku miały zmierzać wszelkie usiłowania Zermah.

Tymczasem mała Dy zaczynała się budzić. Pierwsze słowo, jakie wymówiła, było przyzwaniem matki. Następnie rozejrzała się uważnie po pomieszczeniu.

Powróciły wspomnienia z poprzedniego dnia. Dostrzegła Mulatkę i podbiegła do niej.

– Dobra Zermah! Kochana Zermah...! – wyszeptała. – Boję się... boję się...!

– Nie trzeba się bać, moja kochana!

– Gdzie jest mama...?

– Przyjdzie... wkrótce...! Byłyśmy zmuszone uciekać... dobrze o tym wiesz... Teraz jesteśmy w bezpiecznym miejscu... Nie masz się czego obawiać...! Jak tylko pan Burbank otrzyma pomoc, będzie się starał do nas dołączyć...!

Dy popatrzyła na Zermah, jak gdyby chciała powiedzieć: „Czy to prawda?”.

– Tak! – odparła Zermah, za wszelką cenę chcąc uspokoić dziecko. – Tak, pan Burbank polecił, byśmy tu na niego zaczekały...!

– Ale ci ludzie, którzy zabrali nas do swej łodzi...? – zapytała dziewczynka.

– To są służący pana Harveya, moja najdroższa...! Wiesz, pan Harvey to przyjaciel twego tatusia, mieszkający w Jacksonville...! Jesteśmy w jego domku w Hampton Red.

– A mama i Alice, które były z nami, dlaczego ich tu nie ma...?

– Pan Burbank zawołał je w chwili, gdy miały wsiadać do łodzi... Przypomnij sobie...! Jak tylko ci źli ludzie zostaną wypędzeni z Camdless Bay, zaraz po nas przybędą...! Poczekajmy... nie płacz...! Nie bój się, moja najdroższa, choćbyśmy miały pozostać tu nawet przez kilka dni...! Jesteśmy tu tak dobrze ukryte...! A teraz chodź, trochę cię umyję i uczeszę...

Dy nie przestawała wpatrywać się uporczywie w Zermah i pomimo słów Mulatki z jej ust wyrwało się ciężkie westchnienie. Nie mogła, nie potrafiła uśmiechnąć się jak zwykle po przebudzeniu.

Teraz przede wszystkim należało ją czymś zająć.

Zermah przyłożyła się do tego z najczulszym staraniem. Toaleta dziewczynki została zrobiona równie starannie, jak gdyby Dy znajdowała się w swoim miłym pokoiku w Castle House, a równocześnie Mulatka próbowała zabawiać ją historyjkami. Potem Dy trochę zjadła, a Zermah towarzyszyła jej przy tym pierwszym śniadaniu.

– Teraz, moja droga, jeżeli zechcesz, to przejdziemy się... w obrębie ogrodu...

– Czy domek pana Harveya jest ładny? – zapytało dziecko.

– Ładny...? Nie... – odpowiedziała Zermah. – Myślę, że to stara rudera. Ale są tu drzewa, strumyki, jest gdzie się przechadzać! Zresztą zostaniemy tu tylko kilka dni, a jeśli nie będziesz się za bardzo nudziła, jeśli będziesz mądra, twoja mama będzie zadowolona!

– Tak, dobra Zermah... tak! – odparła dziewczynka.

Drzwi pokoju nie były zamknięte na klucz. Zermah wzięła dziecko za rękę i obie wyszły. Najpierw znalazły się w mrocznej reducie, lecz już po chwili spacerowały w pełnym świetle pod osłoną listowia wielkich drzew, przez które przebijały się promienie słońca.

Ogrodzony teren nie był rozległy, gdyż miał powierzchnię około jednego akra, z czego blokhauz zajmował sporą jej część. Pali-sada, która go otaczała, nie pozwalała Zermah rozemkać się w położeniu wysepki w tej lagunie. Wszystko, co zdołała dojrzeć przez starą bramę, to jedynie dość szeroki kanał o mętnych wodach, który oddzielał ją od sąsiednich wysepek. Trudno byłoby więc uciec kobiecie i dziecku.

Nawet gdyby Zermah udało się zdobyć łódkę, jak zdołałyby się wydostać z tych niekończących się kanałów i meandrów? Kobieta nie wiedziała także, że jedynie Texar i Squambo znają rozmieszczenie przesmyków.

Murzyni będący na służbie Hiszpana nigdy nie opuszczali małego fortu i nigdy z niego nie wychodzili. Nawet nie wiedzieli, gdzie są trzymani przez swego pana. By dotrzeć do brzegu St. Johns, by dostać się do bagien graniczących od zachodu z tą zatoką, trzeba byłoby zdać się na los szczęścia. A czy zdanie się tylko na przypadek nie byłoby podążaniem w stronę pewnej zguby?

Zresztą w ciągu kolejnych dni Zermah, zorientowawszy się w sytuacji, zobaczyła, że prawdopodobnie nie może liczyć na żadną pomoc ze strony niewolników Texara. Byli to w większości na wpół zezwierzeceni, niebudzący zaufania Murzyni. Chociaż Hiszpan nie trzymał ich w łańcuchach, to nie cieszyli zbyt wielką wolnością. Dostatecznie żywieni płodami wysepki, lubiący silne trunki, których nie szczędził im Squambo, przeznaczeni głównie do strzeżenia i w razie potrzeby obrony blokhauzu, nie mieli żadnego interesu w zmienianiu swego dotychczasowego życia na inny.

Kwestia niewolnictwa, która rozstrzygała się kilka mil od Czarnej Zatoki, zupełnie ich nie obchodziła. Odzyskać wolność? Po co? Jaki z niej zrobić użytek? Texar zapewniał im utrzymanie, Squambo niezbyt ostro się z nimi obchodził, chociaż był to człowiek, który rozwaliliby głowę pierwszemu, który ośmieliłby się ją podnieść – o czymś takim nawet nie myśleli. Były to bydłeta stojące poniżej dwóch ogarów, które krążyły wokół małego fortu. Naprawdę nie było żadnej przesady w stwierdzeniu, że te zwierzęta przewyż-



Już po chwili spacerowały w pełnym świetle pod osłoną listowia wielkich drzew, przez które przebijały się promienie słońca.

szwały ich inteligencją. Psy znały całą zatokę, pływały bowiem mnogi-
mi przesmykami, przebiegały od wysepki do wysepki wiedzione
cudownym instynktem, który nie pozwalał im zablądzić. Czasami
ich naszczekiwania rozlegały się nawet na lewym brzegu rzeki,
a potem, wraz z zapadnięciem zmroku, same wracały do blokhauzu.
Żadna łódź nie była w stanie wniknąć w Czarną Zatokę, nie będąc
natychmiast sygnalizowana przez tych straszliwych dozorców. Wy-
jawszy Squambo i Texara, nikt nie mógł opuścić małego fortu, nie
ryzykując, że zostanie pożarty przez tych dzikich potomków psów
karaibskich.

Kiedy Zermah zauważyła, jak pilnie strzeżona jest forteczka,
kiedy zrozumiała, że nie może oczekiwać żadnej pomocy od tych,
którzy jej pilnowali, to każda inna kobieta, mniej odważna i mniej
energiczna od niej, straciłaby całą nadzieję. Tymczasem nic takiego
się nie stało. Albo pomoc nadejdzie z zewnątrz, a w tym przypadku
mogła nadejść jedynie ze strony Jamesa Burbanka, jeśli będzie mógł
swobodnie działać, albo od Marsa, gdyby ten się dowiedział, w jakich
okolicznościach zniknęła jego żona. W braku takiej pomocy, by ocalić
dziewczynkę, musiała liczyć na samą siebie, i na pewno dobrze wy-
kona to zadanie.

Zermah, zupełnie odosobniona w głębi laguny, widywała obok się-
bie tylko dzikie twarze. Jednakże dostrzegła, że jeden z Murzynów,
jeszcze młody, spoglądał na nią ze współczuciem. Czy należało upa-
trywać w nim nadziei? Czy mogłaby mu zaufać, wskazać położenie
Camdless Bay, namówić go do ucieczki i udania się do Castle House?
Było to wątpliwe. Zresztą Squambo musiał spostrzec te oznaki zainte-
resowania niewolnika, ponieważ ten był trzymany z dala od Zermah.
Już więcej go nie spotkała podczas swych przechadzek we wnętrzu
małego fortu.

Minęło kilka dni bez żadnej zmiany sytuacji. Od rana do wie-
czora Zermah i Dy mogły poruszać się swobodnie w obrębie pali-
sady. Nocą, chociaż Squambo nie zamykał ich w pokoju, nie wolno
im było opuszczać centralnej reduty. Indianin nigdy się do nich nie
odzywał, dlatego też Zermah przestała zadawać mu pytania. Także

ani na chwilę nie opuścił wysepki, i wyczuwało się, że nieustannie je dozoruje. W tej sytuacji Zermah całą swoją uwagę skupiła na dziecku, które usilnie pragnęło zobaczyć się z matką.

– Przybędzie...! – odpowiadała jej Mulatka. – Miałam od niej wiadomości...! Twój tato także się pojawi, moja droga, razem z miss Alice...

Po takiej odpowiedzi nie wiedziała, co jeszcze wymyślić. Wysilała cały swój intelekt, by rozerwać dziewczynkę, która wykazywała się większym rozumem, niżby wskazywał na to jej wiek.

Tymczasem upłynął czwarty, piąty i szósty dzień marca. Mimo że Zermah nasłuchiwała, czy odległe huki nie obwieszczą obecności floty federalnej na wodach St. Johns, nie dotarł do niej żaden tego rodzaju dźwięk. W Czarnej Zatoce panowała zupełna cisza. Należało z tego wnosić, że Floryda nie znalazła się jeszcze w rękach żołnierzy Unii, co w najwyższym stopniu niepokoiło Mulatkę. W przypadku gdyby James Burbank i jego przyjaciele zostali pozbawieni możliwości działania, czy przynajmniej nie mogła czekać na interwencję Gilberta i Marsa? Jeśli kanonierki opanują rzekę, oni na pewno przeszukają jej brzegi i potrafią dotrzeć aż do wysepki. Przecież pierwsza lepsza osoba z personelu Camdless Bay niewątpliwie powiadomi ich o tym, co się wydarzyło. Jednak nic nie wskazywało na to, że na rzece toczy się walka.

Poza tym dziwne było także to, że Hiszpan jeszcze ani razu nie pokazał się w forteczce czy to za dnia, czy też w nocy. Przynajmniej Zermah nie spostrzegła nic, co mogłoby potwierdzić jego obecność, choć prawie wcale nie sypiała i długie bezsenne godziny upływały jej na wsłuchiwanie się – do tej chwili, na próżno.

Zresztą co mogłaby uczynić, gdyby Texar przybył do Czarnej Zatoki i gdyby ją do siebie przywołał? Czy wysłuchałby jej błagań albo grózb? Czy bardziej należało się obawiać obecności Hiszpana niż jego nieobecności?

Otóż wieczorem szóstego marca Zermah tysięczny raz o tym rozmyślała. Dochodziła jedenasta. Mała Dy spała spokojnym snem.

Pokój, który obu służył za celę, był pogrążony w kompletnych ciemnościach. Wewnątrz panowała zupełna cisza, przerywana cza-

sami gwizdaniem wietrzyka wdzierającego się przez spróchniałe dyle ścian blokhauzu.

W tym momencie Mulatce wydawało się, że słyszy kroki wewnątrz reduty. Z początku przypuszczała, że może to być Indianin, który wracał do swego pokoju umieszczonego naprzeciwko jej celi po zwyczajowym obejściu całej ogrodzonej warowni. Wtedy Zermah zaskoczyło kilka słów, jakie wymieniły między sobą dwie osoby. Podeszła do drzwi, zaczęła nasłuchiwać i rozpoznała głos Squambo oraz prawie natychmiast głos Texara.

Przeszył ją dreszcz. Co o tej godzinie Hiszpan robił w forteczce? Chodziło o jakąś nową machinację powziętą przeciw niej i dziecku? Czy miały zostać wyprowadzone z pokoju, przewiezione do jakiejś innej kryjówki, jeszcze bardziej ukrytej, jeszcze bardziej niedostępnej niż Czarna Zatoka? W jednej chwili te wszystkie przypuszczenia przemknęły przez umysł Zermah... Zdołała się jednak opanować, przysunęła się do samych drzwi i nasłuchiwała.

– Nic nowego? – mówił Texar.

– Nic, panie – odparł Squambo.

– A Zermah?

– Nie odpowiadałem na jej zapytania i prośby.

– Czy po sprawie w Camdless Bay czyniono jakieś próby dostania się tutaj?

– Tak, ale żadna się nie udała.

Po tej odpowiedzi Zermah zrozumiała, że ktoś prowadził poszukiwania, ale kto?

– Jak się o tym dowiedziałeś? – zapytał Texar.

– Kilka razy udałem się na brzeg St. Johns – odparł Indianin – i parę dni temu zauważyłem, że jakaś łódź krążyła u wejścia do Czarnej Zatoki. Doszło nawet do tego, że dwaj ludzie wysiedli na jedną z wysepek.

– Kim byli ci ludzie?

– James Burbank i Walter Stannard.

Zermah z trudem zdołała powstrzymać emocje. To byli James Burbank i Stannard! Zatem nie wszyscy obrońcy zginęli w czasie

ataku na plantację. A jeśli zaczęli poszukiwania, znaczyło to, że wiedzieli o porwaniu jej i dziecka. Jeśli wiedzieli, to by znaczyło, że pani Burbank i Alice zdołały im o tym powiedzieć. Tak więc obie także żyły. Obie zdołały powrócić do Castle House po usłyszeniu ostatniego okrzyku Zermah, wzywającej pomocy przeciw Texarowi. Tak więc James Burbank wiedział o wszystkim, co się wcześniej wydarzyło. Znał nazwisko nędnika. Może nawet domyślał się, w jakim miejscu zostały ukryte jego ofiary. Jeśli tak było, to potrafi je odnaleźć!

Cały ciąg powiązanych faktów w jednej chwili przesunął się w myślach Zermah. Opanowała ją ogromna nadzieja – nadzieja, która prawie zaraz zniknęła, kiedy usłyszała odpowiedź Hiszpana.

– Tak, niech sobie szukają, ale nic nie znajdą! Zresztą za kilka nie trzeba już będzie się obawiać Jamesa Burbanka!

Co znaczyły te słowa, tego Mulatka nie potrafiła pojąć. W każdym razie w ustach człowieka, któremu podlegał Komitet w Jacksonville, musiała to być straszliwa groźba.

– Teraz, Squambo, potrzebuję cię na jakąś godzinę – odezwał się znów Hiszpan.

– Jestem na rozkazy, panie.

– Chodź ze mną!

Chwilę później obaj wyszli do pokoju zajmowanego przez Indianina.

Co chcieli tam robić? Czy nie chodziło o jakiś sekret, który później mógłby przynieść Zermah korzyść? W tym położeniu nie powinna zaniedbać niczego, co mogłoby się jej przydać.

Jak wiemy, drzwi od pokoju Mulatki nie były zamykane nawet w nocy. Taka ostrożność była zbyt duża, ponieważ redutę zamykano od wewnątrz i sam Squambo trzymał klucz przy sobie. Nie było więc możliwości opuszczenia blokhauzu, a w konsekwencji spróbowania ucieczki.

Dlatego Zermah mogła otworzyć drzwi pokoju i iść na palcach, powstrzymując oddech.

Panowała głęboka ciemność, tylko z pokoju Indianina wydostawało się słabe światelko.

Zermah podeszła do drzwi i popatrzyła przez szparę w dylach. To, co zobaczyła, było na tyle dziwne, że nie mogła zrozumieć znaczenia tej sceny.

Chociaż pokój oświetlał jedynie ogarek żywicznej świecy, tyle światła wystarczało Indianinowi, zajętemu w tej chwili dość delikatną robotą.

Otóż przed Indianinem siedział Texar rozebrany ze swojej skórzanej kurtki, z lewym ramieniem obnażonym i wyciągniętym na stoliku tuż pod światłem padającym ze świecy. Na wewnętrznej stronie przedramienia rozpostarty był kawałek dziwnego w kształcie papieru z niewielkimi dziurkami. Squambo cienką igłą nakłuwał mu skórę w miejscach naznaczonych dziurkami na papierze. Była to operacja tatuowania, w której Indianin, jako Seminol, musiał być bardzo biegły. Rzeczywiście robił to z wielką zręcznością i bardzo delikatnie, aby koniec igły tylko nakłuwał naskórek, tak aby Hiszpan nie doznawał żadnego bólu.

Kiedy Indianin skończył, zdjął papier i wzięwszy kilka liści rośliny, którą przyniósł Texar, potarł nimi przedramię swego pana. Sok tej rośliny, wprowadzony w nakłucia, wywołał silne swędzenie, ale Hiszpan nie był człowiekiem skarżącym się na byle drobiazg.

Kiedy cała operacja dobiegła końca, Squambo przybliżył świeczkę do tatuażu. Wtedy na skórze przedramienia Texara pojawił się czerwony rysunek.

Rysunek ów dokładnie odtwarzał to, co dziurki zrobione igłą uformowały na papierze. Kopia została wykonana z idealną dokładnością. Był to szereg przecinających się linii, przedstawiających jedną z symbolicznych postaci z wierzeń seminolskich.

Ten znak już nigdy nie mógł zostać usunięty z ramienia, na którym Squambo go wycisnął.

Zermah widziała wszystko, lecz jak już zostało powiedziane, nic z tego nie rozumiała. Jaki interes mógł mieć Texar w ozdobieniu się tym tatuażem? Po co był mu potrzebny ten „znak szczególny”, używając słowa umieszczanego zwykle w paszportach? Czyżby chciał uchodzić za Indianina? Przecież nie pozwalały mu na to ani cera, ani

charakter jego osoby. Czy nie należało raczej widzieć korelacji pomiędzy tym znakiem a tymi, które zrobiono przemocą owym kilku podróżnym z Florydy, którzy wpadli w ręce pewnego szczepu Seminolów na północy hrabstwa? Czy Texar nie zamyslał czasem udowodnić w ten sposób swego zagadkowego alibi, co mu się już nieraz tak dobrze udawało? A może także była to w istocie jedna z tajemnic nierozzerwalnie związanych z jego życiem, którą przyszłość zapewne ujawni?

W umyśle Zermah zrodziło się jeszcze inne pytanie. Czyżby Hiszpan przybył do blokhausu tylko po to, by skorzystać ze zręczności Squambo w materii tatuowania? Czy po ukończonym zabiegu opuści Czarną Zatokę, by wrócić na północ Florydy, niewątpliwie do Jacksonville, gdzie jego stronnicy nadal byli panami sytuacji? Czy też jego zamiarem było raczej pozostać w blokhausie aż do nastania dnia, nakazać Mulatce, by się przed nim stawiała, podjąć jakąś nową decyzję względem swoich więźniarek?

Pod tym względem Zermah szybko się uspokoiła. Błyskawicznie wróciła do pokoju w chwili, kiedy Hiszpan wstawał, by powrócić do reduty.

Tam, przywarłszy skulona przy drzwiach, podsłuchiwała rozmowę prowadzoną między Indianinem a jego panem.

– Czuwaj baczniej niż kiedykolwiek wcześniej – polecił Texar.

– Dobrze – odparł Squambo – ale gdybyśmy zostali mocniej osaczeni przez Jamesa Burbanka w Czarnej Zatoce?

– Powtarzam ci, że za kilka dni już nie będziesz musiał się obawiać Jamesa Burbanka. Zresztą gdyby to okazało się konieczne, wiesz, gdzie należy zaprowadzić Mulatkę i to dziecko... Tam, gdzie później do was dołączę...

– Tak, panie – odpowiedział Squambo – ale ponieważ należy przewidzieć także przypadek, że Gilbert, syn Jamesa Burbanka, i Mars, mąż Zermah...

– Za dwie doby oni będą w mojej mocy – stwierdził Texar – a gdy ich będę miał...

Zermah nie dosłyszała zakończenia tego zdania, groźnego dla jej męża i dla Gilberta.

Texar i Squambo wyszli z blokhauzu, którego drzwi zamknęły się za nimi.

Kilka chwil później skif prowadzony przez Indianina opuszczał wysepkę i kierując się pomiędzy mrocznymi krętościami laguny, dobił do łodzi, która oczekiwała na Hiszpana przy wylocie zatoki na wody St. Johns. Wtedy, wydawszy ostatnie polecenia, Texar rozstał się ze Squambo. Następnie Hiszpan, niesiony odpływem, szybko podążał w kierunku Jacksonville.

Dopłynął tam o świcie, w sam raz na czas, by wprowadzić swoje plany w czyn. Rzeczywiście, kilka dni później Mars zniknął pod wodami St. Johns, a Gilbert Burbank został skazany na śmierć.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!